

# WIECZORY RODZINNE,

CZASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE

DLA DZIECI.

[31]



SLOWENKA (str. 490).



## WSPOMNIENIA Z ŻYCIA POETY.

(Dalszy ciąg).

Odtąd zaczęłam używać niektórych przywilejów dorastającej dziewczyny: wieczór cały u ojca przesiadywać, słuchając gawędki, tłómaczyć czasem dla niego na francuzkie ustępy których potrzebował, listy dla mamy pisywać. Lekcje polskiego języka ojciec sam mi dawał, lekcye te na tém najwięcej zależały, że egzaminował mnie z tego com czytała, wypracowania moje kazał sobie odczytawać i uwagi mnie swoje robił. Trudność władania z wszelką swobodą językiem, którym w około nas prócz rodziców nikt nie mówił, czuł dobrze i był na to wyrozumiały; ale nieraz, słysząc nas mówiących wzdychał, że mamy akcent barbarwny, cudzoziemski. On byłby chciał słyszeć w naszych ustach tę mowę śpiewną, litewską, która nadewszystko była mu miłą.

Rok 1850 odznaczyły dla nas dwa ważne wypadki: przyjazd naszej ciotki Zofii i twoje na świat przyjście, kochany Józiu. Ciotkę, którą poznaliśmy wówczas, można powiedzieć, że mama także pierwszy raz w życiu widziała, bo zostawiła w kraju malém dzieckiem tę przyrodną siostrę swoją, która teraz zjawiała się w pełni młodości. Wdzięk jój i rozum wszystkich w domu dla niej zniewolił, a ja przywiązałam się do niej nadzwyczajnie, czém pewne zjednałam sobie szczególniejsze też jój zainteresowanie się i dobroć, z którą mnie już prawie za towarzyszkę uważać zaczęła. Przybycie jój bardzo dom ożywiło, a znakomity talent muzyczny wieczorkom naszym wiele dodawał uroku. Służalski z szumniejszymi niż kiedykolwiek występował frazesami i czołobitnością dla dam, a na rocznicę ślubu rodziców, która przypadała 22-go Lipca, urządził im niespodziankę w dawnym stylu, przy gorliwej naszej pomocy a wyrozumiałości osób interesowanych, które nic nie widziały ani widzieć chciały. W ogrodzie całym zawieszonym girlandami, nad którymi przez całą poprzednią noc pracowaliśmy, zajaśniała świetna illuminacya za pomocą latarek papierowych; przed altanką transparent, roboty Służalskiego i jego przyjaciela malarza, cyfry rodziców ukazywał powiązane wieńcami z róż; Władzio wystąpił z oracyą; Helena z parą gołąbków białych z różowemi wstążeczkami na szyi; ja tylko w białej sukience młodsze dzieci przyprowadzając rodzicom, co wszystko w naszym mniemaniu równie rozrzewniająco jak wspaniale wyglądało. Chóry amatorów ukryte za drzewami dopełniały przedstawienia, które jednak nie całkiem zadowolniło naszego impres-

rio, bo Władziowi z wielkiego wzruszenia pamięć nie dopisała, a gołąbki śmiech wielki wywołały; ale jednak bohaterowie uroczystości niezaprzeczenie byli radzi, i bardzo wesoło wszyscy się zabawili przy herbacie i kolacyi, która obchód ten solenny zakończyła.

W kilka miesięcy po przyjeździe ciotki, jednego dnia rano zobaczyliśmy wchodzącego ojca z oznajmieniem nam o przybyciu na świat nowego braciszka, którym właśnie byłeś ty Józiu. Przjęliśmy cię z etuzyazmem, na wpół jako brata, na wpół jako zabawkę. Do chrztu trzymała cię ciotka z zacnym przyjacielem ojca Karolem Sienkiewiczem. Do imion Józefa i Gabryela, którego wybrano jako anioła stróża, ojciec dodał imię Rufina, a gdy się temu ostatniemu dziwiła, pamiętam jak mi ojciec wytłómaczył, że zawsze każdemu z nas dodawał miano patrona, w którego święto urodziliśmy się. Chrzest twój, braciszku, był nam niestety ostatnią wesołą uroczystością kościelną.

W parę miesięcy po twojem urodzeniu opuściliśmy Batignolles, aby przenieść się w okolice Luxemburga, na rue de l'Ouest Nr. 44.

Wprowadzenie nasze tylko było dość oryginalne z powodu skąpego i nieznosnego gospodarza, który, znany zresztą paryzkim obyczajem, mamie przy wynajęciu oświadczył, że dzieci, psów i kotów nie znosi. W obec tego *dictum acerbum*. widząc mieszkanie wygodne i niedrogie, nie śmiała biedna mama przyznać się do nas sześciorga, i późno wieczorem, jak kontrabandę, jedno dziecko po drugim przesunęła, a nazajutrz rano już się jego cerberowska mość jakkolwiek pogodziła *avec le fait accompli*.

Parterowe pokoje wychodziły na ogródek domu, który miał także tę przyjemną stronę, że brama jego wprost naprzeciwko ogrodu Luxemburskiego znajdowała się. Na pierwszym piętrze sypialnie się mieściły i ojciec miał swoje dwa pokoiki z ulubionym piecem. Brat nasz Władzio, jeszcze podczas naszego pobytu w Batignolles, został przyjęty do zakładu S-te Barbe; Oleś do początkowej uczęszczał szkółki; ja z Helenką uczyliśmy się w domu.

Ciotka opuściła nas na kilka miesięcy, aby powrócić do Warszawy. Za drugim jój przyjazdem zdecydowanem zostało, że towarzyszyć jój będę w podróży do Włoch, i ojciec przez pare miesięcy dawał mi lekcye włoskiego języka, czytając ze mną *Le mie Prigioni* Silvio Pellico. Wieczorem często bardzo zasiadał ojciec do szachów, to z Niewiarowiczem malarzem, to z p. A. Chodźką. Grał on bardzo dobrze, a że dobrych też znalazł w tych



panach graczków, tak długo czasem ciągnęła się partya, że na drugi dzień dalszy ciąg odkładano. Wciąż na to patrząc, nauczyłam się i ja gry tak poważnej, a tłumaczenia ojca wkrótce mi pozwoliły żywy w partyach brać udział.

Przy herbacie zwykle gawędka toczyła się żywa o polityce, wieczorami czasem pogadanki Słuzalskiego, który i tutaj często się zjawiał, lub opowiadania i śpiewy p. K., które też bardzo lubił, w dobry humor ojca wprowadzały. Największym zaś tego dowodem było, kiedy sam zaczął wspominać o Litwie, opowiadać różne szlacheckie anegdoty, albo własne swoje wspomnienia z dziecinnych i studenckich czasów. Jak np. będąc małym dzieckiem lubił siadać na ogoniastej sukni swojej matki, i ciągnąc się w ten sposób za nią po pokoju, wyobrażać sobie, że płynie albo jedzie sankami. Jak jadąc po raz pierwszy z Nowogródka do Wilna, ze szkół do uniwersytetu, najętą brykę furmańską, w towarzystwie trzech kupców żydów, uzbroił się w stary nabity pistolet i dopóty go ciągle trzymał na kolanach, aż przerażeni tём jego towarzysze, potrafili go przecież przekonać, pokazując swoje pieniądze, że mają więcej od niego, on przeto niema potrzeby lękać się od nich napaści.

Niekiedy cofał się aż do czasów swych dziecinnych i często wspominał matkę, którą bardzo kochał. Rok zwłaszcza 1812 głębokie na nim uczynił wrażenie. Przejście najprzód wojsk Napoleona świetnych i błyszczących, wjazd młodego króla westwalskiego w całej okazałości potęgi i powodzenia, a potem powrót tych szczątków rozbitych, zgłodniałych, wynędzniałych, plądrujących po domach opustoszonych, w umyśle dziecka wyryły niezatarte ślady. Przypominał straszne wrażenie, jakie w na nim zrobił jakiś wyższy oficer w błyszczącym od złota i haftów mundurze, który zgłodniały dopadłszy łójówki, chciwie ją ogryzał. Klęski te ciężko się odbiły i na nowogrodzkim domku. Dziad już nie żył, a babka znalazła się z dziatwą narażoną na ciągle napady i rozboje. Parkan koło domu wojsko rozebrało na opał, tak, że tylko brama jedna pośrodku sterczała. Straszne też były noce tej groźnej zimy. Wówczas zjawił się nagle, jakby na strażnika umyślnie zesłany, duży czarny pies, który niewiadomo z kąd przywędrował i najgorliwiej domu pilnować zaczął. Przez całą noc leżąc na śniegu, czujną wartę odbywał, a nikt go go domu zwabić nie mógł. Jedna nasza babka miała łaskę u niego kiedy wyszła go pogłaskać, wchodził czasem za nią do pokoju i przyjął tam z jej ręki jakie pożywienie; ale zaledwie jeść skończył, znowu na dziedziniec powracał i tam czujną wartę odbywał. Tak przeszła zima, a gdy piękne dni wiosenne nastały i wszystko się uspokoiło, pies

zniknął równie tajemniczo jak się zjawił, zostawiając w pamięci dzieci wspomnienie jakby legendy.

Dom ten nowogrodzki miał jeszcze inne swoje ciekawości. Dziadek nasz nadzwyczaj zwierzęta wszelkie lubił i u siebie utworzył rodzaj menażeryi. Wiosną dzieci wydołać nie mogły dostarczaniu owadów i ziarna dla najrozmaitszych ptaków; był i wilk przyswojony i lis i kruk. Wilka natura, jak mówi przysłowie, pociągnęła do lasu. Lis długo się trzymał, w domu najporządniej się prowadząc, ale w nocy najazdy ciągle robiąc na kurniki żydów nowogrodzkich; zmówili się w końcu synowie Izraela, i złapawszy złodzieja na gorącym uczynku zamordowali. Psa owego na kilka lat przed śmiercią matki ktoś widział w Nowogródku i wielką sprawił jej przyjemność przynosząc tę nowinę. Oryginalną też postacią w domu miał być stary sługa, którego nasz dziadek był przezwał Ulisem, bo co wieczór bąbał o prawdziwych i zmyślonych swoich podróżach najdziwniejsze rzeczy, których dzieci zbiegłszy się do piekarni, tak chciwie słuchały, że ich potem nakłonić nie było można do pójścia spać. Ulubionym jego tematem były fantastyczne przygody, które mu się przytrafiły w domu poprzedniego jego pana.

Na takich opowiadaniach, które rozjaśniały zawsze i jakby odmładzały ojca, cofając go do szczęśliwych lat i ukochanej Litwy, upływały wieczory daleko miliej niż kiedy polityka zaprzatając umysły, nasuwała mniej dla mnie interesujące przedmioty rozmowy.

Tymczasem zbliżał się powoli dzień mego wyjazdu z ciotką do Włoch, i przyszło położyć koniec lekcyom, które ojciec na przygotowanie do podróży mi dawał (gdyż język włoski dobrze posiadał, równie jak prawie wszystkie europejskie) i pożegnać nie skończywszy „Le mie Prigioni“ które zawsze czytaliśmy razem. Po długich przygotowaniach do drogi, po kupieniu dwóch maleńkich sztyletów, z których ojciec śmiał się niezmiernie, widząc, że spodziewamy się spotkania z jakim Rynaldem Rinaldinim, po zaopatrzeniu się nareszcie w Liwiusza, aby czytać go jak przystało w Rzymie, odwiózł nas ojciec na dworzec kolei żelaznej. Choć spłakana po rodzicach i rodzinie, czułam, że z wesołą ciekawością ku Włochom lecę, nie przewidując, że z tym wyjazdem kończył się dla mnie okres wesołych lat dziecinnych. Za powrotem znalazłam już inne kłopoty, zgryzoty, a wkrótce ujrzałam początek choroby, z której mama już wyjść nie miała. Na opisanie tej bolesnej epoki czuję, że nie staję mi odwagi.

Pobyt mój z ciotką we Włoszech przeciągnął



się nad czas pierwotnie oznaczony i trwał blisko półtora roku. Podówczas odbierane częste listy mamy i parę listów ojca donosiły nam o wypadkach domowych, o przeniesieniu się rodziny na *rue Notre Dame des Champs*. W Neapolu doszła nas wiadomość o decyzji ministra Falloux, która ojcu, pobierającemu od 1845 r. tylko połowę pensyi profesora w Collège de France, całkiem tę posadę odbierała. O tej klęsce domowej mama ze zwykłą sobie energią pisała: „Jeśli zaszła próba materyalna, mamy siłę ją znieść, gdyż to nie jest największe nieszczęście, które może dotknąć rodzinę tak liczną jak nasza“. Niebawem też zostaliśmy z ciotką uspokojone o bycie naszych, nominacją ojca na bibliotekarza w Arsenale.

Tam już znalazłam mieszkających rodziców, kiedy z bijącym sercem, wesół jak ptaszek, który do gniazda powraca, wyskoczyłam z powozu przed starym gnachem sięgającym czasów Henryka IV. Pierwsze wrażenie przyjemnem nie było, ciemne mury, ogromne sklepienia, długie korytarze, przypominały klasztor lub więzienie; ale kiedy przebiegłszy je zadzwoniłam u wejścia i zobaczyłam mamę, która właśnie drzwi nam otworzyła, jakże promiennym arsenał mi się wydał. Trzymała ona właśnie na ręku śliczne jasnowłose dziecko, które to lekliwie do niej się tuliło, to ciekawie błękitne zwracało oczy na nieznanome mu twarze przyjezdnych. Tym dzieckiem ty byłeś, mój Józiu, a raczej też, jak cię wówczas nasywano, Beniaminek całej rodziny i faworyt ojca. Za chwil parę i ojciec z pokoju swego wysunął się posłyszawszy odgłos rozmowy, wykrzykników i powitań, i z zadziwieniem w opalonej, dużej dziewczynie, która ręce jego całowała, poznał swoją Marynię. Wyglądał on wówczas dobrze: gęste włosy jeszcze bardziej posrebrzyły się, ale w sobie utył cokolwiek i cera zwykle blada, czerstwiejszego nabrała koloru. Wkrótce ze szkoły i pensyi, na obiad pojawili się bracia i siostra; gwar coraz weselszy i hałaśliwszy podnosił się, w miarę jak nowe zjawiały się główki.

Wieczorem jednak zostawiłam młodsze rodzeństwo przy zabawie, brata przy lekcjach, i poszłam, odzyskując dawny przywilej, nalać ojcu herbatę. Jakże słodko było czuć się znowu w rodzicielskim domu, którego wśród wszelkich piękności Rzymu i przy ukochanej ciotce tak często mi brakło; z jak dziecinną radością witało się dawnych znajomych, dawne nawyki, każdy drobiazg domowego życia, jakże ja ciebie żałuję, mój Józiu, żeś nigdy nie doznał podobnego szczęścia.

Tryb życia u nas mało się zmienił, choć ojciec trzy razy na tydzień zmuszony miał zajęcie siedzenia przez dzień cały w bibliotece, zajęcie,

które później dopiero całkiem zrozumiałam, o ile mozolnem dlań było. Obok utrudzenia — bo co chwilę, jeżeli chciał czytać lub pisać, każdy przychodeń mógł mu przeszkodzić, żądając tej lub owej książki — miał on także inne podrzędne, ale dla takiego jak on człowieka dotkliwe przykrości.

.....  
Wieczorem, prawie codziennie, kazał Władziowi pokazywać sobie zadane na drugi dzień lekcje i sam wypracowania łacińskie poprawiał; a czynił to z taką starannością, że nieraz w godzinę po lekcji słyszałam jak ojciec z wyższego piętra, gdzieśmy mieli swoje pokoiki, Władzia przywoływał, aby jeszcze słowo jakie lub wyrażenie na właściwsze zamienić. Tych lekcji łaciny szczerze bratu zazdrościłam; starałam się spamiętać te, które głośno powtarzał, a w końcu odważyłam się poprosić, żeby i mnie wolno było razem z nim łaciny się uczyć. Ojciec wszakże na to się nie zgodził, mówiąc: „Daj pokój! i tak aż nadto lubisz czytać; wykierowałabyś się na pedantkę, a tego nie chcę“. Ale cokolwiek później lekcje niemieckiego zgodził mi się ojciec sam dawać, i zaczęliśmy razem czytać Goethego: „Hermann und Dorothea“. Raz ojca zniecierpliwiło niezdarne moje tłumaczenie i spróbował objaśnić mi o ile moja praca niegodną była oryginału; na co odpowiedziałam z pokorą, że sama to czuję i rozumiem, ale że lepiej tłumaczyć nie potrafię. Wówczas ojciec z żywością książkę otworzył i powoli, ale wcale nie zatrzymując się, wierszem polskim tej samej miary co wiersz Goethego, utwór niemieckiego mistrza zaczął przekładać. Może byłby choć nowy ułamek przybył do tłumaczeń jego z obcych poetów, bo widocznie był w nastroju poetycznym; ale nieszczęściem, po kilku wierszach wykrzyknęłam osłupiona: „ależ to wiersze papo“. Wówczas ojciec zadrgnął, jakby przebudził się, książkę zamknął i odesłał mnie mówiąc, że lekcya skończona; mnie zaś żal ogarnął, żal, który dotąd pozostał, za tak niewczesne odezwanie się moje.

Wieczorami mniej więcę to samo zbierało się towarzystwo: w pokoju ojca, Służalski rozmowniejszy niż kiedykolwiek i amatorowie szachów; ale więcę też gości bywać zaczęło w saloniku mamy, przychodząc to na obiad to wieczorem podczas kilku tygodni pobytu ciotki Zofii.

.....  
Na lato zmieniliśmy mieszkanie. W Arsenale, tuż nad Sekwaną położonym, wystawionym na południe, czyste mieliśmy wprawdzie powietrze, piękny rozległy widok przeciwległego brzegu rzeki szczególnież nad wieczorem kiedy kopuła Inwalidów zdawała się kąpać w czerwonym świetle zachodzącego słońca; ale latem gorąco było wielkie



Skarżyliśmy się też na niewygodę obszernego, ale źle rozłożonego mieszkania i na okna, które nisko się otwierały, ojciec lękając się bardzo wypadków z dziećmi, do połowy zakratować je kazał, tak że zdawało nam się iż w klatce lub za klauzulą siedzimy. Szczęściem też prawdziwem było przeniesienie się do Montgérana, gdzie bardzo tanio wynajęto nam część willi generała Rottembourg'a. Mieszkanie było wcale obszerne a uprzyjemniał je ładny park, pełen dużych drzew i świeżych trawników. Ale ojciec nieraz powtarzał, że wolałby raczej maleńki a osobny domek z ogródkiem, niż park, do którego wyjść nie mógł swobodnie, ażeby się nie spotkać z wystrojoną zawsze choć nie młodą generałową lub ze starym generałem, którego fotel wysuwano do ogrodu.

Wkrótce na wakacje zawitali bracia a z nimi towarzyszy Władzia, Egipcjanin, który sam jeden wysłany do Francji na wychowanie i stęskniony za rodziną, do nas się przywiązał i każdym razem Władziowi za wyjściem ze szkoły towarzysząc, stał się siódmym dzieckiem w domu. Ruch i wrzawa napelniły ciche dotąd pokoje, a drzewa owocowe ogrodu częste zaczęły odbierać odwiedziny.

Korzystając z pięknych dni letnich, liczna nasza gromada, nieraz powiększona przyjeżdżającymi kolegami Władzia, ruszała do blizkiego lasu pobiegać lub łowić motyle, których zbiór mieliśmy ułożyć. Ty, mój Józiu, rzadko chodziłeś z nami; drobne twoje nóżki wydolać jeszcze nie mogły dalekim spacerom i nadewszystko lubiłeś na trawniku przed domem chwycać koniki polne, które obejrzawszy, matce lub ojcu pokazawszy, starannie napowrót odnosiłeś, puszczając na trawę, nigdy im najmniejszej nie zrządziwszy szkody. Tam więc dni spędzałeś, lub przy fontannie zapatrzonej na płynącą wodę, albo kiedy księżyc świecił, całymi godzinami mając oczki wlepione w jasną jego tarczę. Kontemplacye te bardzo ojca bawiły, i poszanowanie dla skrzydełek koników polnych mocno pochwalał w swoim faworycie.

Pod jesień ojciec też na długie wyciecki z nami do lasu Senart namawiać się dawał. Ale las ten choć obszerny, nie wiele miał powabu, jako regularnie wycinany a więc wszelkię pozbawiony rozmaitości; miał też ważny ten niedostatek, że grzybów prawie wcale w nim nie było. Raz, dla pocieszenia nas po niefortunnej wyprawie na borowniki, Służalski, z prawdziwym talentem, z gałęzi i trzciny sfabrykował kaczkę, którą puścił na wody dużego stawu, licząc że jego *canard végétal*, w pewnym oddaleniu, skusi każdego strzelca i że nie mało prochu na nią wystrzelają myśliwi francuzcy,

tak chciwie polujący na rzadką zwierzynę. Ostatni to bodaj był ów pomysł myśliwskiej Służalskiego fantazyi, którym ubawieni, choć z próżnemi rękami, powróciliśmy do domu.

Z końcem lata ubiegły ostatnie dni nasze pogodne. Przyszło braciom pożegnać spacer, swobodę wiejską, łowienie motylów i powracać do murów szkolnych. Po ich wyjeździe mama pierwszy raz nagle zasłabła, ale słabość jej wydała się wówczas rzeczą zwyczajną i nikt w niej nie poznał objawów groźnej choroby.

Na końcu Listopada przyjazd kochanej ciotki Zofii, która przybywała starania nasze przy chorągiew dzielić, chwilowo mamę podźwignął; ale przełotny był to błysk polepszenia, wywołany radośnym wzruszeniem. Na imieniny ojca już nie mogła mama zasiąść z nami za stołem i do jej łóżka poszliśmy dzielić się opłatkami, którego na ziemi już ani ojciec, ani mama przełamać z nami więcej nie mieli. Coraz widoczniej zbliżało się ku nam nieszczęście, któremu wierzyć się jeszcze nie mogło; aż w Styczniu choroba zdała się nowy wziąć obrót — bóle uśmierzyły się, apetyt zaczął powracać a z nim i siły. Mama, która stan swój już widziała, zawczasu ojca uprosiła, aby kiedy jej przyjdzie przygotować się na śmierć, on sam, a nikt inny, ostrzegł ją o zbliżającej się ostatniej chwili; wówczas jednak wraz z doktorami zaczęła wierzyć w swoje wyzdrowienie i z uśmiechniętą twarzą nam wyznawać, jakby o rzeczy przeszłej, że już bardzo źle z nią było i że dużo wycierpiała myśląc, że jej przyjdzie nas opuścić. O tyle też była pokrzepiona, że codziennie wstawała i nawet domem znów potrosze zajmować się zaczęła; ale zwodnicze było to polepszenie, chwila wytchnienia przed ostatniem pożegnaniem! W Lutym znowu nastąpiło pogorszenie, ale że chciała mama koniecznie, abym z ciotką była na wieczór, kazała, aby przedemną ukryto groźne symptomata, które zresztą nie po raz pierwszy okazywały się. Przed wyjazdem moim na wieczór zażądała, ażebym przyszła do jej pokoju i z uśmiechem obejrzała moje ubranie; a kiedym wróciła, nie pozwolono mi wejść do jej pokoju, mówiąc że śpi. Jakże też strasznem było moje przerażenie, kiedy nazajutrz rano wchodząc do matki, obaczyłam na jej twarzy tę zmianę, która najmniej świadomego nie omyli — cechę zbliżającej się śmierci! Poczulałam, że jej nam nic już zachować nie zdoła. Ojciec, tak jak zażądała, sam oznajmił jej wyrok doktorów, który posłyszała, jak później nam mówił, z pogodą i męstwem żołnierza. Odtąd prawdziwie nadludzki spokój zapanował u niej nad wszystkimi bólami fizycznymi i nad cierpieniami du-



szy, której także ciężko musiało być świat ten opuszczać, na którym tak kochaną, tak potrzebną była! Na drugi dzień sama zażądała księdza, i spowiedź odbywszy, z całą przytomnością, wbecności nas wszystkich przyjęła Ostatnie Namaszczenie z największą rezygnacją i wiarą, sama odmawiając modlitwy. Potém dzieci zawołała do siebie, każde z osobna pocałowała, pobłogosławiła. Nawet w tej chwili tak okropnej dla serca matki nie opuściła jęj błoga spokoju i widząc nasze łzy i trwogę, uspokajała nas i pocieszała powtarzając (choć dobrze wiedziała całą prawdę), żebyśmy nie płakali, żebyśmy się nie bali, że ona może jeszcze powrócić do zdrowia.

(D. n.).

## HONOROWY STÓŁ KRZYŻACKI.

OPOWIADANIE Z DAWNYCH CZASÓW.

przez M. . a.

(Dalszy ciąg).

Ugłaskawszy węże, podała im wszelkie jakie miała jedzenie, które pożarłszy, zadowolone gadziny z lekkim sykiem ukontentowania popęzły tocząc leniwie lśniące swe kręgi napowrót do dziur podziemnych, naokoło ścian izby pomiędzy śmieciem. Gospodyni patrzyła na nie w milczeniu podobnem do jakiegoś nabożnego skupienia ducha... Gdy znikły, pogroziła jeszcze więźniom i wyszła, a łoskot jaki potém nastąpił zawiadomił że drzwi zostały zatarasowane. Zdziwionemu poprzedniem z węzami zajściem Richartsdorffowi objaśnił Wolfgang bywalec, że węże domowe, chowane bywają po chatach pogan Litwinów, Prusaków i Jadźwingów na cześć bóstw ich, a rozpieszczone i uważane za święte niejako, rozuchwalają się nieraz tak bardzo, że małym dzieciom wydzierają przemocą a raczej wyjadają ich pożywienie, zwłaszcza mleko ulubione przez nie. Matki muszą dobrze pilnować małych dzieciaków jedzących i zabawiać węże jadłem w tejże chwili, bo inaczej nie jedno dziecko zmarłoby z głodu będąc codziennie objadane przez poświęcone węże, a matce na pociechę pozostałby tylko zaszczyt że dziecko jęj zostało uświęcone szczególniejszą łaską bogów... Więźniowie pozostali zatem głodni i starannie zamknięci; jedno i drugie nie hardzoby ich kłopotalo jednakże, nie takich oni rzeczy byli zwyczajni, gorszem złem były srogie pęta. Mimo to, Hans Richartsdorff zręczny, silny, młody i dzięki lekom matczynym niezbyt już cierpiący, zdołał znaleźć w śmieciu, szanowaném tu widocznie jako

wygodne i ciepłe pokrycie dla jam węzowych, mały kawałeczek jakiegoś ostrego żelaza, którym, wzięwszy go w zęby, potrafił nieznacznie przeciąć błonę zwierzęcą zastępującą dzisiejszą szybę w oknie i spojrzeć na zewnątrz, odchyliwszy różek owęj błony: zyskał wszakże tylko zgryzotę, bo spostrzegł że chata była obstawiona jeśli nie silną, to przynajmniej bardzo liczną strażą. Korzystając z samotności więźniowie złożyli szybko radę wojenną, z której wypadło, że jedynym celem do jakiego powinni dążyć wyęzając wszelkie siły, było uwolnienie się z więzów bardzo sztucznych i ciężkich, które krępowały ich członki, bo zresztą drewniana chata i straż z wyrostków złożona, nie przerażały wcale czterech ludzi, z których acz jeden tylko był rycerzem prawdziwym, to przecież i trzej inni byli tak z rycerstwem zespoleni i doń przywykli, że można ich było pod względem siły, odwagi, wytrwania, a zwłaszcza rozumnej karności, także za dzielnych przynajmniej wojowników uważać. Gdyby nie mieli ciężkiej paki z klawikordem do dźwigania, gdyby nie mieli pęt na sobie, a broń mieli w rękach, drwiliby z pewnością ze swego uwięzienia. A i tak, młody szaleniec Hans, rozplamieniony do reszty myślą o świetnej swęj rycerskiej przyszłości, wynalazł sposób wydostania się z niewoli: — Prosta rzecz — powiedział — oto jest na kominie zarzewie, ja rozżarzę je, i czołgając się, nanoszę bodaj zębami paliwa, to odzienie, ten chróst, te naczynia drewniane a nade wszystko słoma na której leżymy, wystarczą do rozpałki, a jak tylko chata zacznie się palić, włóżę umyślnie rękę w ogień, który gdy przetrawi te łykowe i drewniane więzy, zgaszę go, a sam mając już jedną rękę wolną, chwycę broń, choć jeden nóż tylko od lada którego z tej chmary dzieciuchów otaczających chatę, przetnę nim wasze więzy, wtedy wśród popłochu z pożaru powstałego każdy z was wyrwie broń malcom, a z jakąkolwiek bronią w ręce, już sobie przecież damy radę z tém szubrawstwem.

— A ciężka paka z klawikordem?... która się też zapalić może wśród pożaru? — wstrząsając głową rzekł rycerz — czy sądzisz synu że ogień tak łatwo gasić jak go rozniecać w tym razie?... — Hans spuścił głowę, zamyślił się, inni też coś radzić zaczęli, gdy skoble i zapory zewnątrz skrzypieć a trzeszczęć poczęły i schylając wyniosłą postać pod niski uszak, wszedł do chaty stary Kire-kirejto. Oburzył się okrutnie ujrawszy ciężkie więzy rycerza i kazał mu zdjąć co przykrzejsze, acz nie te przecież które mu ręce i pięści potężne ubezwładniały. Potém, zostawszy sam na sam z niemcami, siadł przy rycerzu i rozpoczął z nim długą rozmowę. Teraz łatwo było zrozumu-



mieć dla czego rozdzielono niemców, stary poga-  
nin chciał się tajemnie ze starszyzną tylko rozmó-  
wić wzięwszy też za nią Wolfganga i Fritza. Przed-  
miot jego niezmiernie dyplomatycznej rozmowy  
był zaś taki, jak to dobrze przeczuwała matka  
Hansa. Kire-kirejto chciał poprostu wzmocnić  
owym małym bardzo ale dlań potężnym rycerskim  
zastępem swą bandę. Brał on się do tego dość  
zręcznie, z tą wrodzoną przebiegłością która i dziś  
jeszcze stanowi dyplomację dzikich ludów i nieraz  
wyprowadza w pole mądrych europejczyków. Roz-  
mowę tę całą powtarzać byłoby za długo. Kire-  
kirejto przemawiał w niej do rycerza jakby poufnie,  
a o własnych swych podwładnych, o religii i bóst-  
wach swych mówił z drwiącym uśmiechem wzgar-  
dy na ustach; tak właśnie wedle wiarogodnych  
świadczeń rozmawiali się między sobą niegdyś  
rzymscy pogańscy kapłani w chwili upadku po-  
gaństwa. Rycerz o tém podobieństwie nie wiedział,  
bo historii nie studiował, ale mimo to, zdrowy  
rozsądek, doświadczenie i pewna już oświata, od  
razu dały mu uczuć że sprawa z której drwi głów-  
ny ję przywódca, musi przepaść. Iskra prawdzi-  
wego zapалу z wiary w świętość sprawy z jakiej wy-  
krzesana, może rozplomieniwszy serca ludzkie,  
cuda czynić; ale fałszywy zapal nie dokaże cu-  
dów. Drwiny i fałsz nic jeszcze nie zbudowały  
nigdy. A tymczasem Kire-kirejto cały był fałszem  
przesiąkły. Miecz Bolka polskiego broniący w imię  
obowiązku kraj od łotrostw Jadźwingów, spadł na  
nich tak ciężko i skutecznie, że Kire-kirejto i tak  
niezbyt gorliwy, zwątpił wtedy zupełnie o bóst-  
wach narodowych które tak łatwo pokonać się  
dały. Był on wówczas niezbyt stary jeszcze; do-  
stojeństwa swego dostąpił głównie z racji rodu  
który wiódł od najstarożytniejszych naczelników  
ludu. Ta wyższość jak z jednej strony wywyższa-  
ła go rzeczywiście dając mu pewien szacunek dla  
samego siebie, tak z drugiej dawała mu pychę  
i dumę szaloną. Tak obojętny dla bogów swoich,  
przecież jeżeli miał jeszcze względy jakowe, to  
tylko dla *Pryparseisa* ponieważ to był bóg *rodowy*  
przysparzający czci, dóbr i majątków. Kire-kirej-  
to jeżeli miał jaką wiarę to tylko jedną, że jemu  
i jego rodowi należy się z prawa panowanie  
i zwierzchność, oraz wszelkie zyski i przyjemności  
ziemskie w parze z panowaniem chodzące. Dla  
tego też szczerze, bez udania na ten raz, przywią-  
zanym był do małego wnuka swego Hansa, raz że  
to był istotnie syn jego córki, a powtóre, że wojo-  
wnicze zdolności i chciwy panowania umysł dzie-  
ciaka, czyniły mu go prawdziwym synem po *duchu*.  
Celem Kire-kirejty było, za pomocą otumanionej  
bałwochwalczemi obrzędy tłuszczy, powrócić na pa-  
nowanie w Drohiczyźnie, a następnie rozszerzać pano-

wanie Jadźwingów na okół, kosztem rozumie się są-  
siedniej Polski szczególnie, na którą to okoliczność  
Kire-kirejto kładł nacisk, sądząc i słusznie, że  
okoliczność ta podoba się rycerzowi niemieckiemu,  
jako pochodzącemu z plemienia wiecznie z Polską  
wojującego i niejako naturalnie ję nieprzychylnego.  
A otóż na tym punkcie pomylił się Kire-ki-  
rejto. A to dla tego, że sam drwiący już z po-  
gaństwa ale nie znający jeszcze chrześcijaństwa  
i nie mający przytém własnej ojczyzny, ani żadnej  
przewodniej w życiu gwiazdy, prócz nędznej dumy  
swój i pychy rodowej, nie mógł on też pojąć uczuć  
innych w innych ludziach, więc mówiąc do ryce-  
rza i jego towarzyszy przemawiał on do dumy  
i pychy ludzkiej, ani domyślając się że słucha go  
tylko litość chrześcijańska, ale nic więcej. Może  
on zresztą i znał nie jednego niemieckiego ryce-  
rza, ale teraz właśnie natrafił przypadkiem na  
jednego z téj małej liczby której nie znał. On po-  
owiedział w omówieniu:—Ja mam prawo panowania  
nad częścią świata, a ty masz trochę siły, podziel  
się ze mną, a i ja się z tobą podzielę. — A na to  
odrzekł rycerz także w omówieniu:

— Przyjmij ty wiarę chrześcijańską wraz z two-  
im ludem, broń słabych, czcij honor, i dobijaj się  
swobody Grobu Chrystusowego, a ja ci w tém naj-  
chętniej pomogę.

Kire-kirejto spojrział drwiącemi oczyma na rycerza  
i po długiej rozmowie, osądziwszy że Niemiec był nie  
dosyć bystrym aby zrozumieć jego plany, odszedł  
zniechęcony. Przyczyną tego nieudania się zamy-  
słów mądrego po szalbiersku Kirejty, był nie  
przypadek, lecz wola Boska. Bo gdyby na miej-  
scu pobożnego szczerze Konrada Richardsdorffa  
znalazł się inny rycerz niemiecki, jaki rozbójnik  
chciwy złota i panowania, jakich najwięcej było  
podówczas na świecie, to niechybnie chwyciłby  
się taki rycerz zysku szukający, pomysłów  
owego Kirejty i pomógłby mu zwoławszy do  
siebie innych rycerzy do odebrania Drohiczyzny  
i Podlasia; a po ustaleniu się na Jadźwingów  
państwie, pozbyłby się jakim bądź bezprawiem Ki-  
re-kirejty, i samby nad Jatwieżą panował. Ale  
z wyjątkowym acz wzorowym właśnie Richart-  
sdorffiem nie udały się plany Kirejty. Rycerz po-  
niemierz szczerze acz naiwnie wierzył w przekonania  
swoje, był prawdziwym rycerzem, a Kire-kirejto  
niczem nie był bo w nic nie wierzył. I dla tego  
pierwszy acz w niewoli, silnym był; a drugi acz  
naczelnik zwyciężkiej na ten raz bandy, był słabym  
gdy się rozstali. Rozstali się zaś z tém ostat-  
niem słowem, że Kirejto kazał się do jutra namy-  
śleć rycerzowi czy zechce jego sprawę uznać za  
swoją?... i zyski z niej dzielić? A rycerz kazał się  
namyśleć Kirejcie czy zechce być zalecony krzy-



zackiemu mistrzowi i oddać się w jego przemożną ale i bezpieczną pod owe czasy opiekę, za wypuszczenie na wolność Richatsdorffów wraz z pozostałymi ludźmi z ich orszaku? Co miało nastąpić, jutro w razie odmowy wzajemnej?... tego nie wypowiedziano, lecz głucha groźba wrzała wyraźnie w piersi zawiedzionego Kirejty, który po raz pierwszy dostawszy w moc swoją prawdziwego rycerza, niezmiernie wiele na zjednaniu go sobie budował. Po odejściu Kirejty przyniesiono jakieś jadło w naczyniach, bo rycerz poskarżył się Kirejcie na głód opowiedziawszy zdarzenie z węzami i swój wstręt do nich i oburzenie gospodyni. W odpowiedzi, Kirejto wzruszył ramionami, nogą odtrącił pogardliwie węza świętego wyglądającego właśnie z jamy i przyrzekł przysłać jedzenie. Gdy więc następnie przyniesiono je, więźnie zabrali się skwapliwie natychmiast do smacznie przyrządzonej *wereszczaki* \*). Tymczasem mały złośliwiec Hans wnuk przewodniczący zawsze i wszędzie, postawił przed młodym swym stryjem nędzny placek owsiany na wpół z plewą i dzban wody, mówiąc tonem jakim psiarczyk złośliwy do nielubianego psa przemawia:

— Jedz!!!

— Hans Richatsdorff z politowaniem spojrział na malca nikczemnego, ale gdy oczy dwóch krewnych zbiegły się, starszy zamyślił się, a młodszy znikł co prędzej. Po chwili Hans Richatsdorff zadumany dziwnie spojrział na rycerza uważającego bacznie na wszystko i obaj zmuszeni głodem do jedzenia, poczęli jeść placek z plewami i pić wodę, a gdy namyśliwszy się przytém spojrzeli na swych towarzyszy, aby im swych domysłów udzielić, ujrzeni że wereszczaka jeszcze nie znikła, a Wolfgang i Fritz już z łyżkami w rękach pochylali się na słomę, snem znużeni niezwykłym.

— Oby tylko nie był to sen wieczny — mruknął rycerz. — Oby chytry Kirejto nie zechciał w ten łatwy sposób pozbyć się więźni którzy zaprzyjaźnić się z nim nie chcieli. Jedzenie było znowu widocznie zaprawne jakimś ziele. Jadzwingowie nie bardzo byli pomysłowi, ale za to nie przebierali snadź w środkach; dwaj Richatsdorffy zdziwieni poczęli zastanawiać się nad dziwnym spojrzeniem małego Hansa, które ostrzegało jego stryja. Że oczy ludzkie mają mowę swoją którą dusza posługiwać się umie, o tém wie każdy, nie to więc ich dziwiło że stryj zrozumiał nieme ostrzeżenie synowca, ale to, że go ten synowiec ostrzegał... Naprawdę dwaj wojacy myśleli coto miało znaczyć? a tymczasem spokojny choć głęboki do zupełnej

podobny bezwładności sen Wolfganga i Fritza, nie zwiastował wcale otrucia, lecz tylko sztuczne uspienie.

— Jak widać, Kirejto nie stracił jeszcze nadziei zjednania sobie naszych mieczy ku zdobyciu Drohiczyna — rzekł rycerz — kiedy chciał nas tylko uspić, a nie potruć. I owszem, zjedzmy resztę placka i śpijmy i my koleją raz jeden, a potem drugi, aby nas co niespodzianie nie zaszło; bo sen i jadło dają siły, a w sile tylko naszych ramion i rozumu naszego możemy mieć jedynie nadzieję wyzwolenia. Niech tymczasem wygoją się rany nasze; cokolwiek ma nadejść bądźmy przygotowani to przyjąć spokojnym umysłem, boć włos nie spada z głowy naszej bez woli Wszechmocnego. Najdziwniejszym ze wszystkiego dotąd, jest ten malec który cię ostrzegł...

Wolfgang i Fritz obudzili się późno nazajutrz, czuli wielką ciężkość w głowie i niemoc w całym ciele. Mały Hans przyniósł znowu własnoręcznie chleb nędzny i wodę, dozorując kobiety które przyniosły inne jadło i obrzucił obelgami jedną z nich gdy chciała rozluźnić więzy prawej ręki Hansa Richatsdorffa, który skarżył się że jeść spętana ręką nie może. Rycerz bacznie śledził malca leżąc na słomie i udając śpiącego. Następnie z rozkazu jego zjedzono chleb i wypito wodę, a wereszczaką poczęstowano węży które mimo wczorajszego niegościnnego przyjęcia zjawily się znowu zwęszywszy zapach potrawy. Za to następnego dnia nie pokazały się wcale, zapewne spały po jamach odurzone. Więźniowie jednakże starali się udawać sennych i osłabionych, co wywoływało pełne zadowolenia półśmiechy pomiędzy ich dozorcami. Tegoż dnia przybył znów stary Kire-kirejto zapytując rycerza czy się namyślił połączyć swe losy z jego losami i przez to zyskawszy na sile utworzyć potężne państwo na gruzach szarpanej wewnątrz i zewnątrz Polski i powstającej dopiero Litwy i Zakonu któremu co prędzej trzeba w chytrych szalbierstwach przeszkodzić z nim pod pozorem rozszerzania swej religii nie rozszerzy nad miarę swej potęgi. Stary poganin przy tych namowach i rozumowaniach, starał się ciągle okazywać wielce oświeconym, ale rycerz a nawet i jego mniej doświadczeni towarzysze, kiwali tylko głową na taką mądrość i oświatę, zależącą na pogardzie praojców i ich przekonań, na chytrości i pełnej pychy chciwości. Udając wielce sennego i osłabionego, rycerz strzegł się przecież odbierać Kirejcie wszelką nadzieję porozumienia, a to dla tego że chciał zyskać na czasie, którego on i jego towarzysze potrzebowali do wygojenia się z ran; teraz dawano im spokój przynajmniej, kto wie zaś jakby obchodzono się z niemi straciwszy wszelką

\*) Ulubiona potrawa przyrządzona z wieprzowiny.



nadzieję zjednania ich sobie. Z nagabywań i podstępów w mowie Kirejty, zrozumiał też niezadługo rycerz dla czego truto ich codziennie odurzającym ziele jakims zadawaném w jedzeniu: oto rachując na odurzenie i rodzaj obłędu jaki ono istotnie wywoływało, próbował Kirejto podejść rycerza i rycerskie słowo przyzwalające na czynione pro-

znacznie odpowiadał, na raz z tryumfem oznajmił wyraźnie, że bracia służebni krzyżacy są obecnie wiernymi braćmi Jatwieży, a ciężko ranny umiera w chacie staréj lekarki. Hans Richartsdorff zapłakał nad przyjacielem swym Walterem, a Konrad rycerz spuścił głowę usiłując zataić swe przeżalenie. Teraz widział jasno że rozdzielono go



Wieśniaczka bretońska (str. 490).

pozycye odeń wyłudzić. Widocznie znał on świętość i ważność takiego słowa. W taki sposób i na takich codzien ponawianych odwiedzinach Kirejty, upłynęło trzy doby. Czwartego dnia, na usilne dopytywania Hansa co do Waltera i reszty towarzyszy, Kirejto, który dotąd na te pytania dwu-

z podwładnymi aby tém łatwiej wpłynąć na ich umysły, niezbyt światli a surowo utrzymywani w klasztornych zasadach bracia służebni, mogli łatwo dać się zdurzyć Kirejcie świetnymi obietnicami i przystać do rozbójniczej bandy, a w takim razie taka zaguba uczciwych kilku ludzi, padała



znów ciężkim kamieniem na sumienie chrześcijańskiego rycerza, który z obowiązku wodza wyprawy, obowiązany był czuwać nad podwładnymi.

— Chytry stary może i zmyśla to, aby w nas ducha osłabić — rzekł Hans po odejściu Kirejty widząc zgryzotę ojca i nie wspominając o Walterze który też przecież z winy rycerza umierał, ukląkł Hans w rogu izby aby pomodlić się za umierającego przyjaciela. Ukląkł zaś w tém miejscu dla tego, że tam właśnie było jego posłanie, na którym ciągle siedział lub leżał; tam malec synowiec rzucał mu codziennie placek owsiany i tam znajdowało się okienko przez które acz błoną zasute miło jednak było spojrzeć ku jaśniejącemu gwiazdami niebu przy modlitwie. Smutne milczenie zapanowało w izbie na chwilę i właśnie dla tego, bardzo lekki szelest zwrócił uwagę modlącego się Hansa. Młody Richartsdorff pobożny jak jego przybrany ojciec spojrział pod okienko z kądem szelest pochodził i ujrzawszy poruszający się i szleszczący w słomie łeb węża, odsunął się tylko ze wstrętem, nie wstając jednak z klęczek i nie przerywając modlitwy. Ale skończywszy ją spojrział znów w ów zakąt, zobaczył jeszcze raz węża nie ruchomego teraz i dziwnie jakoś wyprostowanego, pochylił się więc doń i z biciem serca ogromnem poznał dopiero przy dogasającym blasku łuczywa że to nie wąż był tylko ostre jakieś wystające z pod drewnianej ściany żelazo; Hans chwycił za to ostrze pociągnął je ku sobie i z nieopisanem uczuciem radości i podziwu, w oczach zdumionych patrzących nań towarzyszy wyciągnął długi olbrzymio miecz rycerski błyszczący... Jednym rzutem jak lew na zdobycz skoczył rycerz ku niemu chwytając oburącz miecz ten w którym odrazu poznał swój własny, padł na kolana a miecz w górę podnosząc wołał ze łzami:

— Wielki Boże! teraz oto czuję że przebaczyłeś zbrodnię moją ciężką kiedy wracasz mi miecz mój na Grobie Chrystusowym poświęcony! Teraz wyjdzie bez skazy honor mój rycerski z téj próby!... — i bił się rycerz w piersi, żałował za grzech. dziękował Bogu i modlił się żarliwie \*). Tymczasem Wolfgang i Fritz stali w pełni poszanowania postawie z rękoma w dół złożonemi i pochyłonemi głowy, tak jak i dzisiaj kwakry i inne niektóre sekty assystują modlitwom swoich starszych. Ale Hans Richartsdorff nie uczestniczył w owej chwili postawą w modlitwie, acz kto wie czyli wzburzony i rozgorączkowany duch młodzieńca

nie uczestniczył w niej tém goręcej całą potęgą wdzięczności do jakiej był zdolny, gdy drżące lecz zręczne palce Hansa przy szalenie bijącym sercu wyciągały z owej węzowej dziury pod drewnianą ścianą, jedne po drugich miecze, noże i sztylety, powoli wynurzające się z tamtąd w miarę jak poprzednie były wyjmowane. W przerwach téj roboty, Hans Richartsdorff wyglądał jednem okiem ostróżnie przez okienko błoniaste ponad cudowną węzową skrytką, przez to samo w którym przeciał otwór ostrym kawałkiem żelaza w śmieciu znalezionem, i widział teraz Hans że jego własny mały czternastoletni co najwyżej siostrzeniec, mały Hans okrutnik, wnuk Kire-kirejty, przyszedł król i władca Jatwieży na Drohiczynię, jak zawsze tak i teraz o więźniów troskliwy, ale zmordowany długiem stróżowaniem, siedział pod owym okienkiem i drzemał kiwając się, a kiwanie to niejednostajne doskonale udawane, maskowało do brze skryte ruchy wnuka Kire-kirejty, gdy ten pomiędzy śmieciem wsuwał przygotowaną zawczasu broń do chaty, przez dziurę pod drewnianą ścianą. Mnóstwo wyrostków, kobiet i kilku starszych ludzi strzegło zresztą bacznie chatę jak zawsze... Konrad Richartsdorff pochylony twarzą ku ziemi modlił się już od dłuższej chwili, Hans patrzył przez okno, mały Hans drzemał, gdy nagle zrywając się gwałtownie wśród dość ciemnej ale gwiazdzistej nocy krzyknął ten ostatni:

— Baczność! baczność! — i ręką przed się ukazał. Wszystkie oczy strzegące chaty zwróciły się w kierunku jego ręki: ta ręka wskazywała na dąb święty osłonięty bogatemi oponami, a z poza tych opon naokoło dębu świętego wznosiły się jasne skrawe dymem lekko przysłonięne płomyki...

(D. c. n.).

## OSOBLIWE UBIORY.

Patrząc na szczególne ubiory jakie przedstawiają obie ryciny nasze, niepodobna nieprzypomnieć sobie znanego przysłowia: że nie to piękne co piękne, lecz to, co się podoba. Słowniarka z węgierskiej doliny Zili, w najpiękniejszym odświętnym stroju, niezmiennym od wieków, jaki mają prawo nosić tylko narzeczone podczas uroczystości weselnej, nie zachwyci nim pewno żadnego z naszych czytelników. Nie sądzimy aby również znalazł łaskę w ich oczach ubiór bretońskiej wieśniaczki z jej wysokim czepcem, pomimo ozdobnego naszytka sukni i wzorzystego fartuszka.

\*) Nie trzeba sądzić aby charakter Konrada Richartsdorffa był zmyślonym, przeciwnie jest to prawdziwy rycerz średniowieczny, o którym wspominają historycy; takim w ogóle był charakter rycerzy chrześcijańskich, naiwny, romantyczny, pobożny i szorstki zarazem a dzielny.



## PAMIĘTNE CHWILE.

*Dnia 8 Lipca 1701 r.* Noc była piękna, cicha, pogodna na niebie miliony gwiazd świeciły z po za obłoków wysuwał się księżyc blady i drżącym światłem oblewał ziemię i odbił się w przejrzystych wodach Dźwiny. Cicho dookoła było zupełnie, cicho, głucho i ciemno... lecz cóż tam na raz plusnęło na rzece? Może rybka zbudzona blaskiem księżyca wypłynęła pod wód powierzchnię i poruszyła spokojną ich toń, może ptak nocny spuścił się nadto nad rzekę i skrzydłami trącił kryształową falę... Nie, to co innego być musi... plusk się ponowił raz, drugi, trzeci i stał się w końcu równym, miarowym, słychać jakby ktoś płynął wodą tylko nie jeszcze nie widać, bo noc nie dozwala, ale plusk staje się coraz wyraźniejszym, coraz pewniej twierdzić można że czyjeś wiosła biją o fale. Nareszcie gwiazdy blednąć poczęły i księżyc także, na wschodzie błysnęła jutrzeńka, a za nią niebawem różowy świt poranku, wierny towarzysz jutrzeńki. Pogasły na jego widok inne gwiazdy, zniknął i księżyc, na ziemi jasno się zrobiło, z poza obłoków strzeliły złote promienie wschodzącego słońca i ozłociły ciemne wody Dźwiny, a wtedy na jej powierzchni ukazały się jakieś łodzie. Płynęło ich kilka a wszystkie pełne były ludzi, przed łodziami posuwało się zwolna parę tratw, na których massy traw widać było, naraz z pośród tych traw podniosły się kłęby dymu, a potem niebawem płomienie błysnęły. Wypadek ten nie zatrzymał wszakże ani łodzi, ani tratw, nie wywołał najmniejszego popłochu między ludźmi; płynęło to wszystko dalej spokojnie, równo, kierując się ku brzegom, gdzie widać było chaty wioski Kremershoff, a między nimi białe namioty, broń w kozły ustawioną i konie na łąkach się pasące. Sasi obozowali w wiosce, były to czasy, kiedy u nas panował August II. Namówiony przez Piotra Wielkiego zaczął on Karola XII króla szwedzkiego, napadł na Inflanty, które jak wiadomo od czasu pokoju oliwskiego przeszły do Szwecyi. Od kilku dni chodziły wieści, że Karol XII obrażony na Augusta wyruszył ze Sztokholmu i wiodąc znaczne siły z szablą wkroczył do Inflant, by sam z Sasami się rozprawić. W wiosce Kremershoff, w pobliżu Infant położonej, obozował Patkul sprzymierzeniec Augusta, oraz oddział wojska saskiego, gdyż dnia 7-go Lipca ukazały się tratwy płomienne na rzece. Sasi zerwali się przerażeni, pobiegli na wały namioty ich otaczające i przypatrywać się zaczęli dziwnemu zjawisku, chcąc rozpo-

znać co za słupami dymu się kryje, ale nie dojrząc nie mogli, kłęby dymu zbyt były czarne i grube. Tymczasem coraz bliżej były brzegu, oni sami nie wiedzieli dobyć ognia, czy nie; namysłali się, radzili, patrzyli na płomienie i dymy, aż tu naraz z po za nich kule świsnęły i kilku ze swarzących się na wałach trupem położyły. Teraz już wątpić nie mogli że to wróg napadł, skoczyli po konie, po broń, lecz zanim stanęli w szeregach, tratwy dobiły do brzegu, za niemi łodzie i 7,000 Szwedów wylądowało. Rozpoczął się krwawy bój, Sasi napadnięci niespodzianie poszli w rozsypkę, a zwycięzki Karol podążył dalej. W rok po tym widzimy go już w granicach królestwa polskiego. Było to znowu w Lipcu, pod Klisowem spotkały się wojska saskie i szwedzkie; tym razem położenie Augusta było korzystne miał z sobą około 20,000 wojska prawie o drugie tyle co Karol. Pewny zwycięstwa czekał potyczki niecierpliwie; ósmego Lipca wojska gotowe do boju naprzeciw siebie stanęły: na lewém skrzydle widać było Polaków, we środku i na prawém skrzydle Sasów, tych liczba przeważała. Trąby bojowe zagrały, uderzyły wojska na siebie i starty się; z razu trudno było zgadnąć kto zwycięży, obie strony trzymały się jednakowo, pod wieczór jednakże Sasi pierzchać poczęli i Karol stał się panem placu boju. Z pod Kliszowa pociągnął on pod Kraków i odnosząc zwycięstwo za zwycięstwem, stał się niebawem panem prawie całego kraju. Roku 1704 ogłosił detronizację Augusta, a w rok potem zwołany sejm uznał królem Stanisława Leszczyńskiego.

*Teresa Jadwiga.*

## Przypadki Myśliwskie młodych osadników

W AFRYCE POŁUDNIOWEJ.

(Dalszy ciąg).

Właśnie też nosorożce oddalając się od wozów, zwróciły się w tę stronę, a widząc przed sobą nowy przedmiot, na którym mogły wściekłość swoją spędzić, rzuciły się na biedne zwierzęta i rozpoczęła się nowa gonitwa po rozległej łące. Konie rżały, wierzgały rozpaczliwie, biegając tu i ówdzie w trwodze nieopisaną, a ociężałe nosorożce z głową spuszczoną, sapiąc i chrząkając zajądły, pędziły za niemi.

Młodzi myśliwi pośpieszyli na ratunek swoich pocziwych rumaków, a nabijając broń i strzelając bez ustanku, zasypywali uparte zwierzęta gradem kul. Nosorożce afrykańskie nie mają tak twar-



děj i gruběj skóry, jak azyatyckie nie mogą też kul znosić bezkarnie i nasi młodzieńcy pokonali w końcu upartych swoich wrogów. Henryk i William najlepiej strzelali, mierzyli w najczulsze miejsce pod żebra, i udało im się w końcu zwalić z nóg obu olbrzymów. Malec po chwili padł także obok rodziców, nie próbował nawet uciekać, ale na widok katastrofy której nie rozumiał, stanął przy matce, pokręcając niespokojnie ogonkiem.

Wśród tego tryumfu odbyła się osobiwsza scena, która w pierwszej chwili przeraziła naszych młodzieńców, a następnie pobudziła ich do szalonego śmiechu i nie raz później była przedmiotem wesołych żartów.

Nosorożec zabity nigdy prawie nie pada na bok, tak, jak inne zwierzęta, ale podobnie, jak żubr amerykański, przysiadł ugiąwszy kolana i brzuchem opiera się o ziemię. Zwierzęta pokonane przez naszych myśliwych, nie odstąpiły od tego prawidła i osiadły na trawie z karkiem zwróconym do góry. Tymczasem Buszmani mają zwyczaj po zabiciu nosorożca wskakiwać na grzbiet jego i próbować nożem lub strzałą grubość tłuszczu pod skórą.

Otóż w chwili gdy para nosorożców osunęła się na ziemię pod celnymi strzałami Henryka i Williama, Facetan, stosując się do tego narodowego zwyczaju, wydobył się z wozu, w którym był ukryty przez cały czas walki, przyskoczył do samca, wspiał się na grzbiet olbrzymiego zwierza i z okrzykiem tryumfu zapuścił głęboko ostry swój dziurę w jego skórę.

Nosorożec oddychał jeszcze, a ugodzony boleśnie, dobył sił ostatnich i zaczął biedz, jak szalony niosąc na grzbiecie Buszmana. Wiwaty zamarły na ustach biedaka i zamieniły się w okrzyki trwogi które pobudzały ranionego zwierza do szybszego biegu. Facetan lękał się zeskoczyć, ażeby nosorożec nie przebił go rogiem, trzymał się więc swego dziurytu, tkwiącego w skórze i jechał na tym osobiwym wierchowcu.

Niewiadomo, na czémby się skończyło, gdyby ta jazda była dłużej potrwała, ale siły nosorożca prędko się wyczerpały i olbrzym padł powtórnie, a tym razem nie powstał już więcej.

Buszman zleciał w tej samej chwili na ziemię i w najwyższym przerażeniu zaczął umykać co siły do obozu, gdzie go przywitano głośnym śmiechem.

Gdy odszukano woły za górą, uporządkowano wozy, gromadka podróżnych zasiadła dokoła ogniska, William zdjął skórę z małego nosorożca i pokrajał mięso na ćwiartki, a Arend,

kuchmistrz obozowy, przyrządził na wieczerzę wyborne kotlety, które spożyto z wielkim smakiem.

## XLVIII.

Przygoda Janka z ptakami.

Minęło dni kilka bez żadnych przygód, zasługujących na wzmiankę, nakoniec podróżnicy nasi zatrzymali się na dłuższy odpoczynek i rozłożyli obóz w przeslicznej dolinie zarośniętej bujną trawą i różnobarwnymi kwiatami. Zewsząd otaczały ją wysokie góry, zasłaniając piękne to ustronie od gwałtowności wiatrów pustyni i tworząc wspaniałe tło krajobrazu. Przez środek doliny przewijał się strumień w tysiącnych zakrętach, jak wąż o łuskach srebrzystych. Gdzieś niedaleko woda rozlewała się w zbiorniki obszerniejsze, tworząc drzemiące jeziora, a ponad przezroczystą jej powierzchnią rozkładały się liście i kwiaty błękitnego grzybienia, *nymphaea caerulea* rośliny wodnej, pospolitej w tej części Afryki. Drzewa i zioła rozlicznych gatunków rosły bujnie w tej czarującej dolinie, a wzrok zachwycony spotykał co chwila nowe przedmioty, jedne od drugich piękniejsze.

Wierzyby zwieszały gałęzie nad brzegami strumienia, akacje rozkładały wierzchołki swe na kształt parasoli, a wśród ich drobnych listeczków zwieszały się grona złocistych, woniejących kwiatów, w cieniu skał sterczały sztywne liście ciernistych aloesów, zdobne w przepyszne kwiaty szkarłatne, owelki, *protaceae* o liściach srebrzystych, ogromnych różnobarwnych kwiatach, cudne wrzosienie, pelargonie, jaśminy, najrozkoszniejsze rośliny, które u nas w Europie w bogatych cieplarniach tylko widzieć można, rosły tam dziko, a rzadko kiedy oko zabłąkanego podróżnika podziwiać mogło te cuda.

Mnóstwo ptactwa, o piórach świetnych, jaskrawych, snuło się wśród zieleni liści, świegotało wesoło, a owady wtórowały im brzęcząc z cicha. Daleko było jeszcze do zachodu słońca, gdy młodzi nasi podróżnicy zatrzymali się w tej ślicznej dolinie, ale widok tego krajobrazu tak ich zachwycił, że postanowili wypocząć w tém czarującym ustroniu. Rozłożyli obóz nad brzegiem strumienia, w cieniu drzew woniejących, puścili woły i konie na paszę, a sami ułożyli się na trawie pod drzewami i czterej starsi zdrzemnęli się wkrótce, ukołysłani szmerem strumienia, świegotem ptasząt i brzęczeniem pszczołek, zbierających miód z różnobarwnych kielichów kwiatowych.

Dwaj malcy nie mieli do snu ochoty, wypocząwszy nieco powstał cicho i zwyczajem swoim zaczęli szperać po zaroślach wypatrując ptactwa.



Nie szukali długo, ujrzeni niebawem wśród traw wysokich poruszające się okazały czarne czuby i usłyszeli głos podobny nieco do krakania wrony. Czubate ptaki nie większe były od zwyczajnych kur, chłopcy nasi poznali je i powitali z radością, wiedzieli bowiem, że mięso ich należy do najwykwintniejszych przysmaków.

Zgrabna ich postać, chód wspaniały, przypominał dropia; w rzeczy samej ptaki te, zwane w południowej Afryce stepowymi kurkami, stanowią rodzaj pośredni pomiędzy cietrzewiem i dropiem. Najwięcej jednak ucieszył się tym widokiem Janek, który znał sposób niezawodny łowienia tych ptaków i miał ogromną ochotę go wypróbować i popisać się tym świetnym czynem przed Klaasem. Od kiedy współzawodnik jego okrył się chwałą, owego pamiętnego dnia, gdy położył trupem giejzę skaczącą, Janek marzył tylko o bohaterskich czynach, któreby zdołały, zrównoważyć przynajmniej, jeżeli nie zaćmić powodzenie Klaasa. Dotychczas jednak nie nadarzyła się żadna sposobność do tego. Widok kurek stepowych nowe w nim zbudził nadzieje, teraz i on mógł się wslawić nie lada jaką zdobyczą. „Teraz, mówił sobie w duszy, pokażę co umiem; Klaas ani się domyśla, jak dowcipnie zastawię sidła na te piękne ptaki, coż to będzie za tryumf, gdy w obec niego wpadną w moje ręce!”

Najpierw tedy zaopatrzył się nasz Janek w pęk włosów, które wyskubał z ogona swojego konia, urządził z niego mocną plecionkę i związał ją w pętlę. Potem poszedł do Facetana i pożyczył u niego bata, a raczej kija od bata, gdyż woźnica, chcąc dogodzić malcowi, odwiązał bat od rękojeści. Trzeba wiedzieć, że Janek był w porozumieniu z Facetanem, który go właśnie wyuczył w wielkiej tajemnicy owego dowcipnego sposobu łowienia kurek stepowych. Niedziw że woźnica brał do serca powodzenie tego przedsięwzięcia. Dodajmy że ów kij od bata, którym Facetan popędzał swój długi zaprząg, nie był to wcale zwyczajny, ale olbrzymi bambus, mający około sześciu metrów długości i podobniejszy do kija od wędki, aniżeli do bata fornalskiego.

Janek uczepił swoją pętlę do cienkiego końca bambusu, wziął drugi koniec w rękę, wsiadł na konia i popędził galopem przez łąkę. Klaas bardzo zaciekawiony temi przygotowaniami, które się odbywały bez jego współudziału, dość niezręcznie udawał obojętność, co niezmiernie bawiło Janka. Łatwo było odgadnąć, że Klaas radby był bardzo dowiedzieć się co z tego będzie, ale nie chciał pytać towarzysza.

Klaas domyślał się jednak, że szło o kurki stepowe, ale nie mógł pojąć, czy Janek miał za-

miar łowić je w siatkę, jak motyle, czy też urządził jakiś podstęp nieznany; nie wątpił, że Facetan przyłożył rękę do tej sprawy i to go najbardziej drażniło.

Janek z boku spoglądał na Klaasa, czytał z jego zaszępionej twarzy wszystkie te myśli i przejechał obok niego, z dumną miną. Zbliżywszy się o sto metrów mniej więcej do miejsca, gdzie kurki przechadzały się pośród zarośli, zciągnął cugle koniowi i zaczął opasywać wielki krąg naokoło kurek stepowych. Klaas był pewny, że ptaki zaraz uciekną, ale się omylił, kurki nie poruszyły się z miejsca, tylko spoglądały na jeźdźcę z głupowatą miną, a ten okrążał je coraz ciasniejszymi kołami, wprowadzając je tym sposobem w rodzaj dziwnego odurzenia. Czy nie przeczuwały niebezpieczeństwa, czy też nie wiedziały w którą stronę uciekać, ponieważ nieprzyjaciel to tu to tam migał przed niemi, dość że doczekały tak nieruchomo, aż Janek zbliżył się zupełnie i mógł je dosięgnąć długim swoim bambusem. Wówczas zarzucił zręcznie pętlę na szyję jednej kurki, podniósł ją w górę i niosąc tę zdobycz wypuścił konia, zdążając na powrót do obozu. Przejechał tuż obok Klaasa i rzucił mu po drodze tryumfujące spojrzenie.

## XLIX.

Przygoda Williama z węzem.

Z czterech podróżników, których zostawiliśmy śpiących pod drzewami, najwcześniej przebudził się William. Spozrzeglwszy zdaleka jakiś przedmiot czerwonawy, w którym upatrywał zwierzynę, William wziął strzelbę na plecy i szedł w stronę, gdzie się ukazywało owo czerwonawe zwierzę.

Było to na samym krańcu doliny, u stóp skalistej góry, której stoki pokryte były pięknymi drzewami. Młody myśliwiec zamierzał ukryć się w tych zaroślach i ztamtąd wymierzyć do zwierz. Zbliżywszy się nieco, William mógł rozpoznać zwierzynę, która go zwabiła. Była to malutka antylopa, podobna nieco do gejzy skaczącej, ale inną maści. Miała grzbiet i całą wierzchnią część ciała ciemno kasztanową, piersi i brzuch białe, a przód główki, aż do koniuszeczka pyska zupełnie czarny. Rożki jej były wyprostowane, nie dłuższe nad dziesięć centymetrów, ogonek tak króciutki, że go prawie nie było.

Myśliwy nasz poznał w tém małym stworzeniu koziołka skalnego, widział go już nieraz, gdyż ten gatunek antylopy, zwany w naukowej klasyfikacji *tragulus rupestris*, napotyka się często na Przylądku, wszędzie, gdzie tylko na gruncie skalistym rosną niskie krzaki. Przyrodniczy



rozdzielają trzy gatunki antylop tegoż samego rodzaju *tragulus*, wszystkie są bardzo małe i tak podobne do siebie, że niektórzy uważają je za odmiany tylko, a nie gatunki osobne.

William pożądlwie spoglądał na koziołka, który nie okazywał najmniejszej obawy, jakgdyby się wcale nie domyślał jego obecności, chociaż był już dość blisko, obrał też sobie wyborne miejsce za drzewem i miał już strzelić gdy nagle się powstrzymał, zdziwiony szczególnymi ruchami zwierzątka. Koziołek był sam jeden, gdyż gatunek ten żyje zwykle samotnie, czasem tylko samica mu towarzyszy. Mała antylopa nie pasła się, nie uciekała, a jednak poruszenia jej zdradzały jakiś dziwny niepokój. Stała na skraju małego lasku akacy i spoglądając w gęstwinę, biegała tu i ówdzie, jakby w przystępie obłądu, cofała się tył, potem znów na dawne miejsce powracała, nie spuszczała oczu z jednego punktu, który całą jej uwagę pochłaniał.

Trudno było odgadnąć, jaki to przedmiot ukryty w zaroślach, przykuwał do siebie uwagę zwierzątka. Myśliwy nic tam dojrzeć nie mógł. Widział wprawdzie u stóp jednego z największych drzewek jakiś wielki przedmiot błyszczący, ale ten mu się zrazu wydał bezkształtną i nieruchomą masą, nie mógł więc pojąć jaki związek mógł mieć ten przedmiot z niepokojem koziołka. Jednakże przypatrując się uważniej, William rozpoznał kształty ogromnego węża, zwinętego w kłębek.

Plaz ten musiał mieć niezwykle rozmiary, gdyż zwoje jego ogromnego cielska pokrywały przeszło metr kwadratowy. Głowa węża spoczywała na samym szczycie potwornego kłębka, a ogon był owinięty na pniu drzewa i sciskał je silnie za pomocą dwóch haczyków, na samym końcu jego przytwierdzonych. Był to wąż z rodzaju pytonów, blisko spokrewniony z wężem boa. Krajowcy afrykańscy nazywają go wężem skalnym, gdyż przebywa zwykle wśród skał i głazów. Ogromny wąż amerykański anakonda zwany jest wężem wodnym, a boa *constrictor* wężem leśnym.

Trzy te potworne istoty, żyjące w odmiennych warunkach, są jednak we wszystkiem niezmiernie podobne do siebie i z powierzchowności i z obyczajów. Tak pyton, jak boa i anakonda, czatują na zdobycz cierpliwie, chwytają ją ogromną paszczą, owijają zwojami swojego cielska, rozgniatają w tém strasliwem objęciu i przełykają w całości, chociaż zdobycz ta bywa niekiedy większa od nich. Paszcza ich tak się rozszerza, cielsko także jest tak rozciągliwe, że mogą tej sztuki dokazać.

Powiedzieliśmy wyżej, że olbrzymi ten plaz trzymał głowę opartą na zwojach swego ciała; lecz po pewnym przeciągu czasu podniósł ją do

góry na stóp kilka wysokości i zaczął się lekko kołysać miarowym ruchem. W rozwartęj jego paszczy widać było ostre, zakrzywione zęby, język widłowy wysunął się naprzód, a oczy ciskały błyskawice. Był to widok okropny, a jednak mała antylopa nie unikała go wcale, przeciwnie przysuwała się coraz więcej do węża, czy to ciekawością wiedziona, czy pociągnięta jakąś niepojętą siłą.

Niektórzy zaprzeczają tej władzy węzów przywabiania drobniejszych zwierząt, jednakże zjawisko to, trudne bardzo do wyjaśnienia, stwierdzone było przez wielu wiarogodnych przyrodników, którzy je na własne oczy widzieli. Nietylko węże, ale i krokodyle wabią tym sposobem ptaszki i małe czworonożne zwierzątka, które same częstokroć wpadają w żarłoczną ich paszczę.

William był właśnie świadkiem tego osobliwego widowiska. Antylopa zbliżyła się z wolna do węża, a gdy już była o kilkanaście kroków od niego, plaz rozwinął nagle zwoje długiego cielska, strasliwa paszcza pochwyliła ofiarę i pociągnęła ją za sobą do stóp drzewa, do którego ogon potwora był uczepiony.

Młody myśliwy widział gwałtowne poruszenia węża, który opasał biedne małe stworzenie splotami swego ciała, zdusił je, zmiażdżył, potem kasztanowata antylopa znikła z oczu Williama wśród zwojów potwornego węża.

## L.

### Walka Williama z pytonem.

Szczególny zbieg okoliczności sprawił, że spotkanie z tym obrzydliwym wężem było dla naszego myśliwca najprzyjemniejszą niespodzianką, patrzył więc na niego z prawdziwem zachwyceniem. Wyjaśnimy to w kilku słowach. Młody lekarz, kolega szkolny i wielki przyjaciel młodzieńca, zajmował się z zamiłowaniem anatomią płazów i nie mógł dostać do swojego zbioru wielkiego pytona. Wąż ten przebywa głównie w Afryce środkowej, na przykładu nigdy nie bywa widziany, a nawet i na północnych wybrzeżach rzeki Pomarańczonej pojawia się bardzo rzadko.

William słyszał nieraz ubolewania młodego lekarza, który dotąd nadaremnie szukał owych pożądaných szczątków wielkiego pytona. Cóżby to była za radość, gdyby mu się udało teraz zabić to potworne stworzenie i spełnić gorące życzenia przyjaciela. A przytém, co za chwała dla niego samego! Pokonać takiego węża to przecież sztuka nielada! Okaz był niepospolity, długość ciała pytona wynosiła co najmniej sześć metrów, a grubość około czterdziestu centymetrów obwodu. Ta-



kie zwycięstwo zaćmiłoby wszystkie bohaterskie czyny Henryka.

Myśliwy nasz nie żałował wcale antylopy, wąż pochłoniął całkowicie jego uwagę. Ale William sam nie wiedział, jak się wziąć do niego i w końcu, nie znalazłszy innego sposobu, wymierzył tak samo, jak do każdej innej zwierzyny i strzelił. Kula trafiła w najgrubszą część ciała węża, omylił się jednak nasz strzelec, jeżeli sobie wyobrażał, że go tak łatwo zgładzi z tego świata; płaz rozwinął szybko zwoje swego cielska, rzucił antylopę, którą zamienił już był tym czasem w jakąś bezkształtną masę i szybko uciekać zaczął, przestraszony widocznie tym niespodzianym napadem, chociaż kula go wcale nie zraniła, ale odbiła się od żelaznego pancerza.

William chciał nabić strzelbę po raz drugi, lecz nim zdążył to uczynić wąż oddalił się znacznie, zmierzając prosto do wielkiej szczeliny w skale, gdzie miał zapewne swoje schronienie. Gdyby mu się udało dopaść tej kryjówki, nie dałby się z niej wyciągnąć. Młody myśliwy, nie wiele myśląc, puścił się w pogoń za nim, a ponieważ płaz, pomimo największego pośpiechu, nie zdołał prześcignąć człowieka, więc William wkrótce zbliżył się tak do węża, że mógłby mu na ogon nastąpić. I znowu sam nie wiedział, co począć z tym dziwnym przeciwnikiem, który żartował sobie z jego kulek. Zniecierpliwiony, zaczął go bić z całej siły kolbą, ale chociaż nie żałował razów, wąż nie zważał na to wcale, tylko umykał ciągle, z jednostajnym pośpiechem. Nie miał on widocznie ochoty występować do walki z młodym myśliwym, chciał tylko spokojnie schronić się w swoim legowisku.

Byłby z pewnością dokazał tej sztuki, gdyż jednocześnie z Williamem stanął przy szczelinie skały, do której zmierzał i wsunął głowę w otwór. Chwila była stanowcza, wąż nie wiele czasu potrzebował na to, aby się wśliznąć do swojej kryjówki, a wówczas wszystko było stracone. Sława myśliwska Williama, niespodzianka, jaką gotował dla przyjaciela, tyle pięknych, nadziei miałołoby się rozbić o upor tego nędznego płazu?

Myśli te nową energią natchnęły młodzieńca, postanowił wyteżyc wszystkie siły i bądź co bądź postawić na swoim. Wiedział, że taki wąż nie jest jadowity, walka nie mogła więc być niebezpieczna. Pyton ma wprawdzie ostre zęby i mógł go ukąsić, ale dzielny młodzieniec nie obawiał się tego, nieraz już miał do czynienia z dzikimi zwierzętami, których zęby straszniejsze są daleko, a zawsze wychodził z walki zwycięsko. Czemużby teraz nie miał pokonać węża, który go nawet napadać nie śmiał, tylko bierny opór mu stawiał?

Powziąwszy to postanowienie William odrzu-

cił na bok strzelbę, chwycił obiema rękami węża za ogon i zaczął ciągnąć ze wszystkich sił do siebie. Udało mu się tym sposobem powstrzymać go w dalszym pochodzie, ale nie mógł wyciągnąć głowy i przedniej części ciała potwora, ukrytej w szczelinie skały. Wąż napotkał tam zapewne jakiś punkt oparcia, do którego się uczepił i nie dał się pokonać usiłowaniom młodzieńca.

(D. n.)

### Łamigłówka w kwadraciku (Różia D.).

W kwadraciku złożonym z 25 podziałek ułożyć 7 A—3 B—4 D—1 E—2 J—1 L—2 N—2 O—2 T—1 W—tak, ażeby odczytać w obu kierunkach pięć imion.

### Łamigłówka głoskowa odwrotna.

Łojn 2

Ł dea 7

Ł etos

Ł ask 2

Ł argi 7

Dodać litery na miejscu kropek, aby utworzyć pięć wyrazów, a z dodanych liter nazwę rzeki z góry na dół i odwrotnie.

### ROZWIAZANIA DO N-ru 29-go.

#### Łamigłówki liczbowej:

Kraszewski — Krew — Ikwa — Kars — Rak — Iwa — Krzew — War — Wir — Kra — Ewa — Rzeka.

#### Krzyża z podstawą:

J  
o  
S t r u ś  
u  
z  
a  
d l a  
o c e a n  
Z y g m u n t

### Odpowiedzi od Redakcyi.

P. Jarnulowskię w Białaszewie. Książki wysłane przez księgarnię p. Orgelbranda wraz z rachunkiem z którego wypada że należy się dopłaty do przysłanych rs. 16, rs. 3 kop. 15; prosimy aby je wprost pod adresem tejże księgarni odesłać.



# DAŁÉJ W POLE.

MUZYKA

J. Czubskiego,

Słowa Stanisława Jachowicza.

Tempo marsza.

Kie-dy kwi-tną kwia - tki ka - ko - le bła - wa - tki gdy pta - szki śpie - wa - ją

pszczoł - ki miód zbie - ra - ją już mnie w do-mu nie - ma - nic mnie nie za - trzy - ma już mnie w do-mu

nie - ma nic mnie nie za - trzy - ma.

2 Kiedy słońce świeci,  
A na łączkach dzieci,  
Otwarte ogrody,  
W ogrodach jagody;  
Już mnie w domu niema i t. d.  
3 Gdy w chłodnym wieczorze  
Milutko na dworze,

Słowik wypiewuje  
Co serduszek czuje;  
Już mnie w domu niema i t. d.  
4 Gdy wietrzyk powiewa,  
Chwieje liściem drzewa,  
Gwiazdki niebo złocą  
Cudownie migocą,

Już mnie w domu niema i t. d.  
5 Na polu, na dworze,  
Tu Cię chwale Boże,  
Tu milczę, swobodniej.  
Tu Cię wielbię godniej;  
Pada łaska z góry,  
O nie wróć w mury.